

na szalkach wagi. To, co przeważy zdecydowanie o Wszystkim.

Niewykluczone, że to konkretne wyobrażenie miało wpływ na to, że od wieków XII-XIII zaczęła w niebываły sposób narastać liczba mszy żałobnych nakazanych w testamentach; poczynając od osób w miarę dobrze sytuowanych. Najczęściej chodziło o 30, 100 i 1000 mszy. A miały miejsce i takie przypadki, gdy w grę wchodziło ich 10 000 (przykładem może być testament Szymona Colberta, radcy parlamentu paryskiego, zmarłego w 1650 r.). W iluś kościołach, np. w dzień śmierci i w dniu następnym, miało być odprawionych tyle to, a tyle mszy. I tyle to, a tyle razy miały zostać wypowiedziane imiona (w tamtych epokach wielość imion była normą) i nazwisko zmarłego. Ale bywało też i tak, jeśli chodzi o to „wypowiadanie”, jak zażyczył sobie król René d'Anjou zwany Dobrym królem René (zmarł w 1480 r.). Otóż jego ostatnia wola zawiera i taki zapis: „[...] król testator życzy sobie i rozkazuje, aby zawsze, każdego dnia i ustawicznie, odmawiana i celebrowana była cicha msza na jego intencję [...]” (Jacques Levron, *Dobry król René*).

Za zwiększającą się, od wspomnianych wieków, liczbą mszy żałobnych kryje się przede wszystkim nadzieja, że za liczbą pójdzie pożądaný skutek. Taki chociażby, że konkretnej duszy zostaną oszczędzone piekielne męki. A może, że będzie mogła opuścić piekło, aby trafić do Czyśćca bądź – gdy w nim przebywała – do Raju. Lecz warto w tym miejscu zaznaczyć, że nad wejściem do Piekła, które Dante Alighieri opisał w części pierwszej *Boskiej komedii*, znajduje się zło-wieszczy napis wzywający do porzucenia nadziei przez tych, którzy znaleźli się w miejscu odbywania kary. Nie tylko wśród współczesnych Florentczyka byli tacy, którzy wierzyli, że pisał on o tym, co widział. Dowodzić tego miał jakoby ślad na jego policzku uczyniony przez piekielne płomienie. Czyżby więc nie było nadziei na opuszczenie piekła przez kogokolwiek? I nic w tym względzie nie zmieni się, choćby w testamencie zostało zapisanych 100 000 i więcej mszy żałobnych? Cóż, nic nie wiemy na temat.

Niewiele więcej wiadomo o powrotach ze świata zmarłych spośród żywych? Przykładem może być Łazarz. Czy jego dusza zdążyła jednak opuścić ciało nim Chrystus przywrócił je do życia? Najpewniej tak, gdyż nastąpiło to cztery dni po jego śmierci (Jan 11, 1-44). Z pewnością nie zdążyła tego uczynić dusza dwunastoletniej córki Jaira, przełożonego synagogi, gdyż Jezus stosunkowo szybko... ujął jej dłoń (Mk 5, 21-43). Ale z całą pewnością, z krainy zmarłych powróciły, przynajmniej niektóre spośród tych dusz, o których wspomina ewangelista Mateusz. A które to powroty nastąpiły bezpośrednio po śmierci Chrystusa na krzyżu:

*I groby się otworzyły, i wiele ciał świętych, których zasnęły, zostało wzbudzonych.*

*I wyszli z grobów po jego zmartwychwstaniu, i weszli do świętego miasta, i ukazali się wielu (Mt. 27, 52-53).*

Wskrzeszenie zmarłych nie należało w

tamtych odległych czasach, przynajmniej w Palestynie, do rzadkości. Grzegorz Chrzczanowski OP, odnośnie tej kwestii, powołując się na pogląd Johna Hicka, napisał, że „dla umysłów ludzi współczesnych Jezusowi nie musiało to [wskrzeszenie] być wcale dowodem boskości, gdyż w owych czasach powstanie z martwych nie wydawało się czymś tak nieprawdopodobnym jak dzisiaj” (G. Chrzczanowski, *Zbawienie poza Kościołem*, Poznań 2005). Niech dowodem na ową nierządność, a także nieboskość owych wskrzesicieli, będzie np. św. Piotr. A przywróconą przez niego do życia osobą była kobieta imieniem Tabita (*Dzieje Apostolskie / Dz 9, 36-43*).

\*\*\*

Wiemy o ludziach, którzy, będąc żywymi, dotarli do Krainy zmarłych (bez względu na to, jak ona się nazywała). Nie wiemy jednak ilu spośród nich powróciło na ziemię. Podobno udało się to tylko Orfeuszowi (ale bez Eurydyki) i Heraklesowi (porwał z Hadesu Cerbera, co było jego dwunastą, ostatnią pracą). Lecz nie byli oni, co jest istotne, zwykłymi śmiertelnikami (śmierć jednak ostatecznie ponieśli). Pierwszy był synem boga Apollina/Apolla i muzy Kaliope, drugi synem nadboga Zeusa i śmiertelniczki. I chyba ktoś jeszcze miał to szczęście. Lecz nie mogę go sobie przypomnieć... Nie, nie był to Odyszeusz. On dotarł jedynie, za radą Kirke, do wejścia do krainy umarłych. A tam krwią zwierząt ofiarnych zwałił dusze. Zależało mu na spotkaniu z duszą wieszczka Terezasza. A ten, gdy napił się krwi wyjawiał mu, co go czeka w drodze do Itaki. Ale zapewnił go równocześnie, że powróci w domowe pielesze.

Odyszeusz spotkał tam także m. in. dusze swej matki i druhów poległych pod Troją. Ofiarowując wspomnianą ofiarę, na którą oprócz krwi składał się także miód, mleko i słodkie wino, sprawił, że nie musiał schodzić w czeluście Hadesu. Nie bez przyczyny słynął ze sprytu.

Jakiś czas potem natknąłem się na informację, że tym kolejnym, który zszedł do świata zmarłych i z niego powrócił był Eneas (chciał by dusza jego ojca podzieliła się z nim pewną tajemnicą). Także on spośród swych protoplastów miał bogów i boginie; przynajmniej o tym mówią mity i te greckie, i te rzymskie. Zważ jednak czytelniku, że i Orfeusz, i Herakles, i Eneas udając się do krainy, którą władał bóg Hades i jego małżonka Persefona, i powracając na ziemię, byli i pozostali, przynajmniej jeszcze czas jakiś, żywymi ludźmi.

\*\*\*

W świecie zachodnim coraz chętniej, skwapliwiej obywatelom się bez Boga, często wręcz nie widzącym dla niego miejsca (mówiąc brutalnie: zastosowania), zmarli nie mogą już być pewni choćby wypominków. Coraz mniej mają więc szans na bycie przypominanymi. Czy grozi im więc to, że zostaną pozostawieni własnemu losowi tam, gdzie są,

(oczywiście do czasu)? Wiele, niestety, wskazuje na to, że tak. Wypominki są bowiem ostatnią szansą na przypominanie przez żywych owej ogromnej rzeszy umarłych. Wówczas bowiem, i to nawet wielokrotnie, może wybrzmieć imię i nazwisko zmarłego, wypowiedziane przez duchownego lub wyznaczoną osobę. I stanie się to we wnętrzu kościoła wypełnionego półmrokiem bądź rozświetlonego. Owo imię (ewentualnie także drugie oraz kolejne) i nazwisko będą słyszane nie tylko przez księdza i fundatora wypominków, ale może jeszcze przez iluś ludzi. Nie można wykluczyć i tego, że owe bardzo istotne i konkretne słowa, współcześnie najczęściej dwa, opuszczają „świętynię”. Stanie się to nie tylko wtedy, gdy „napotkają” otwarte drzwi lub okna, ale kiedy „przebijają” się przez mury, mimo, że te z reguły są grube. Wówczas może trafić jeszcze do czyichś uszu. Lecz gdy zabraknie kogoś dającego na wypominki, pozostaną jedynie rodzinne dokumenty. Zaś w przypadku osób bardziej znanych – wspomniane publikacje książkowe, również e-publikacje. A wtedy może się zdarzyć, i oby się zdarzyło, że ktoś je wertujący przeczyta na głos imię i nazwisko zmarłego. Całych wspólnot, ale i pojedynczych osób, nie zastąpi w tym przypominaniu, nie ważne jak częste, odtwarzanie danych zmarłego przez jakieś, zaprogramowane do tego urządzenie elektroniczne. A jeśli już, to właśnie Tylko tego można spodziewać się po, mającej zresztą się coraz lepiej, cywilizacji technicznej. Pożądanego skutku nie odniesie też umieszczanie personaliów wspomnianych osób w Internecie. Nawet, gdyby było ono połączone z rozchodzeniem się dźwięku. To będzie bowiem czysto mechaniczna forma przypominania osobom (jeszcze) żywym, i Tylko im, że ktoś taki to, a taki, istniał. Żywego słowa w tym względzie Nic nie jest w stanie zastąpić. Nic, gdyż nie są znane jakiegokolwiek przestanki, aby sądzić, że bogowie/Bóg zainteresowali się/interesują się osiągnięciami technicznymi ludzi. Im/Jemu do Niczego nie są one potrzebne. Kontaktują się z nami w ten sam sposób, co dotąd. I nie oczekują od nas Niczego innego, jeśli chodzi o kontaktowanie się z Nimi/Nim. Nie tędy więc droga. (Rzecz jasna w beletryście czy filmie może być przedstawiony anioł bądź diabeł korzystający np. z Internetu. Literatura i film to jednak coś innego niż życie, choćby było to jedynie pozażycie/nieżycie.) Zaś ludzie, szczególnie ci żyjący dawno temu, nie bez powodów uznali (mieli o wiele więcej okazji do stykania się ze sferą *sacrum*), że należy przypominać o tych, którzy nie są w stanie już tego czynić w swym imieniu. My, współcześnie żyjący, uważamy najczęściej, że wypominać można, jeśli już, najwyżej niezapłacone rachunki i nie spłacone kredyty bankowe.

W tym miejscu przypomnę znanego teologa katolickiego Hansa Ursa von Balthasara. A to dlatego, że był on zdania, iż „zbawienie jest możliwe dla wszystkich ludzi i dla całego człowieka, to znaczy z jego ciałem i z jego historią”. Ów pogląd Piotr Napiwodzki OP uzupełnił następująco:

(Dokończenie na stronie 24)